

W numerze:

Dziś na stronie 2 zamieszczamy
dwa krótkie opowiadania Franza
Kafki

1) — Posejdon 2) Bąk

GDYBY PARYS LUBIŁ JABŁKA...

(ZMIANY W DYDAKTYCE
I PROGRAMACH
SZKOLNYCH)

ODBYWA się właśnie lekcja historii w klasie V. Nauczycielka, chcąc przerwać przyjacielską pogawędkę dwóch małych na temat nie związane z wykładem, pyta jednego z nich zniechęca: — Powiedz mi, dlaczego Parys oddał jabłko Afrodyty? Chłopiec, wyrwany raptownie, usiłuje sobie coś przypomnieć z niezbyt zrozumiałej lekcji i wreszcie, przy żywym współudziale klasy, obwieszcza z ulgą: — Bo nie lubił jabłek, proszę pani!

Nie ręczę za autentyczność wydarzenia. Może istotnie miało miejsce, a może sponzorowali je rozgoryczeni nauczyciele, którym kazano tłumaczyć jedenastolatkom przyczynę i przebieg wojny trojańskiej i zapoznać je ze skomplikowaną problematyką historyczno-mitologiczną starożytnej Grecji.

Programy szkolne, nawet te częściowo zmienione w ciągu ubiegłego roku szkolnego, nie są przystosowane do psychiki i potrzeb rozwojowych dziecka.

...Zaczyna się to już w klasie pierwszej. Dziecko przychodzące do szkoły zmienia zasadniczo tryb życia. Wdrożenie go do systematycznej pracy i stałych obowiązków nie może się jednak odbywać zbyt gwałtownie. Dzieci bowiem źle znoszą rygor szkolny, nie są w stanie skupić się na lekcji, a przymusowa bezczynność fizyczna męczy je i niecierpliwą.

Dotychczasowe programy szkolne w niedostatecznym stopniu uwzględniały te właściwości psychiczne dziecka. 21 godzin zajęć tygodniowo już w pierwszej klasie powodowały przepracowanie ucznia — a co za tym idzie — i jego mniejszą chłonność umysłową. Zdarza się także, że dzieci znudzone już w połowie lekcji liczeniem zapałek czy poznawaniem literki, przez następne minuty uniemożliwiają prowadzenie lekcji, kręcąc się i rozmawiając.

Bardziej doświadczeni nauczyciele natychmiast reagują na to rozprzeżenie wprowadzeniem innych zajęć, które mogłyby zaabsorbować uwagę małych.

Była to jednak zawsze pewnego rodzaju „inicjatywa prywatna”, pozostająca właściwie w niezgodzie z oficjalnym rozkładem zajęć. Już od przyszłego roku szkolnego jednak, równocześnie z obniżeniem ilości godzin w klasach pierwszych, stanie się to zasadą. Aby zwrócić uwagę dziecka, nauczyciel będzie musiał na jednej godzinie lekcyjnej przechodzić od rachunków do śpiewu czy gimnastyki, od poznawania liter — do rysunku.

Wymaga to, oczywiście, maksymalnej samodzielności i inicjatywy nauczycieli. Cała zresztą reforma programów szkolnych, opracowywana obecnie przez Ministerstwo Oświaty, zakłada — jako podstawę — samodzielność nauczycieli oraz elastyczność programów, których realizacja uzależniona będzie od specyfiki szkoły i środowiska. Program nie może być sztywną wytyczną, którą realizuje się niezależnie od aktualnych potrzeb dzieci, od poziomu naukowego już osiągniętego i stanu kadrowego szkoły.

A jak to było dotychczas? Dotychczas we wszystkich szkołach obowiązywały identyczne programy. Tak więc, tę samą ilość materiału musiał z dziećmi przerobić nauczyciel w mieście, prowadząc zajęcia tylko z jedną klasą, jak i nauczyciel na wsi pracujący w klasach łączonych. Ponieważ jednak możliwości przerobienia tego materiału były z zasady bardzo różne, w konsekwencji dzieci na wsi nie dążyły z przyswojeniem sobie nawet najbardziej podstawowego materiału, co odbijało się na wynikach egzaminów, jakie zdawały chcąc dostać się do szkół średnich.

Obecnie ulegnie to zasadniczej zmianie. Nauczyciel większej otrzyma pomoc w postaci instrukcji wyodrębniającej za-

(Ciąg dalszy na str. 3)

MIT ZMURZAŁY STAROŚCIĄ I NIEZROZUMIENIEM

Motto: Dla urzędnika utrata stanowiska jest tym samym, czym dla władcy utrata państwa.
(z toniku przysłów chińskich)

POWYZSZA złota myśl chińska bierze początek nie w dzisiejszym rozumieniu słowa „urzędnik”, ale z czasów, kiedy oznaczało ono rzeczywistą funkcję, ważną w organizmie społecznym; kiedy reprezentowało osobę w pełni zdającą sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, którą automatycznie przejęła na siebie z momentem stania się urzędnikiem. Na urząd ową trzeba było zasłużyć, urząd ów był pracą twórczą, polegającą na rozwiązywaniu pewnych kwestii gospodarczych, pracą absorbującą czas i zdrowie, wymagającą wiedzy i wykształcenia.

Z biegiem lat „urzędnik” traci swe pojęcie znaczeniowe i przestaje sprawować jakikolwiek udział w „urządzeniu” życia gospodarki państwowej, przechodząc na pozycje li tylko nominalne, tytularne. Zachowuje się ów tytuł, oznaczający kiedyś wielkie i zachowuje jednocześnie mętł o konieczności urzędnika w administracji kraju.

Za słynnej i przysłowiowej już c.k. Galicji (jeśli już przeneść się na nasze tereny) „urzędnik” zaczyna łączyć się z dożywotnim stanowiskiem, chociażby w najskromniejszej urzędzie ze świadectwami, należnymi mu już tylko z tytułu, z wygodnym rodzajem pracy, z emeryturą i wreszcie, co chyba najważniejsze, zaczyna powoli zrzucać z siebie odpowiedzialność sensu stricto. W wyniku bowiem powstałej drabiny hierarchicznej w urzędowaniu, w wyniku skomplikowanej nomenklatury radców młodszych i starszych, odpowiedzialność spada absolutnie na tych najstarszych rangą, ograniczając przez to jakkolwiek inicjatywę początkującego urzędnika.

W tym długim, bo trwającym nieraz dziesiątki lat urzędowaniu — procesie, w tej nieustannej pogoni za wyższym stanowiskiem, upatrywać trzeba powolnego, lecz systematycznego zatracania rzeczywistych cech urzędnika, coraz mniejszego zaangażowania się w niższej jednostki w całokształt spraw urzędowych, coraz bardziej lekceważącego stosunku do własnej pracy, która nie daje rychłych możliwości awansu. Ołbrzymia liczebnie machina cesarskiego administrowania, odcienie i nuanse w nazwie urzędnika, stają się właściwie końcem jakiegokolwiek twórczej myśli gospodarczej i jednocześnie ugruntowaniem mitu urzędnika wśród mieszczanstwa.

W chwalebny okresie — XX-lecia międzywojennego, kiedy wraz z konkretnymi warunkami polityczno-gospodarczymi rozprzestrzeniła się aura niechęci wobec pracy fizycznej, tym większą atrakcją staje się ów mit pracy biurowej. Obojętnie gdzie, czy na poczcie, czy przy telefonie, czy w biurze handlowym, którego pomieszczenie składa się z pokoiku z nędznym stołem i dwoma krzesłkami, czy wreszcie w starostwach, urzędnik pozostaje urzędnikiem.

I mimo że praca jego łączy z tym pojęciem więcej cieni niż blasków, mimo że przestaje być dobrze opłacana — jest synonimem pracy umysłowej, o niebo „wyższej” od pracy rak. Właśnie w okresie XX-le-

cia zaczyna się produkcja urzędnika-skróbiopirka, którego czynności ograniczają się w dużej mierze do przepisywania, podpisywania, a co za tym idzie, kunsztownej kaligrafii. Proporcjonalnie do liczby owych pseudourzędników maleją wymogi wykształcenia i rzeczywistej wiedzy ogólnej.

BY NIE było jakichkolwiek wątpliwości co do istoty artykułu, na wstępie zastrzegam się, iż mowa tu jedynie o złe pojętym sensie urzędnika, o całej plejadzie ludzi niepotrzebnych, a przede wszystkim o tych, którzy jeszcze w zaciszu kolebki marzą o karierze biurowej. Dzień dzi siejszy jest świadkiem, że mit przechowywano starannie, pieczołowicie w imaginacji i czekano odpowiednich lat oraz czasu, by móc go zrealizować.

Należy stwierdzić, że lata 1945—1950, sprzyjały nadmiernej rozbudowie machiny urzędniczej. Częstokroć w urzędzie, gdzie wszystkie sprawy mogły być doskonale załatwione przez 15 ludzi, była ich co najmniej podwójna ilość.

Entuzjasta, działając w dobrej wierze, miałby doskonale wyobrażenie o urzędach owego czasu i... byłby daleki od prawdy. Przeróżająca, nieustająca produkcja towaru urzędniczego jeszcze bardziej obniżyła jakość pracy, jeszcze silniej wpłynęła na zatracenie odpowiedzialności, jeszcze wydatniej powiększyła szeregi ludzi bez zawodu.

Dla gorących wyznawców i pieczołowitów mitu nastał czas prosperity. Po raz pierwszy chyba w długiej historii urzędowania, urzędem mogli parnąć się każdy. Wykształcenie było niepotrzebne, nie brało pod uwagę, a zdanie „przydatność do zawodu” nie miało zastosowania.

DZIŚ, w roku 1958, możemy wyciągnąć z wspomnienia piękne przysłówie, że historia, nawet ta nie bardzo odległa w czasie, uczy i zmusza do myślenia. Myślenie zaś prowadzi do najprostszego i najlepszego — analizy.

I tu nasuwa się pierwsze pytanie: co skłania rzeszę młodych ludzi do upartego wyboru zawodu, który w ciągu paru lat praktyki życia powojennego zawodem być przestał? Jedyną możliwą argumentowaną odpowiedź — to ów mit urzędnika. Niezręczysty mit o wygodzie, o niewymaganych kwalifikacjach, o łatwości urzędowania. Mit nie mający pokrycia w życiu.

Drugie wy tłumaczenie — to zakorzenione od lat przekonanie o wyższości pracy „umysłowej” nad pracą fizyczną, wiele przesądów i pogardy, łączących się z tą ostatnią.

Szereg urzędników zasiadających w swych okienkach, do czynności których należy ostemplować znaczek na liście, wypisać na skrawku papieru służbowego nazwisko adresata i postawić z hukiem okrągłą pieczęć poczty, byłoby szczególnie oburzonych na oświadczenie, że ich praca z pojęciem wysiłku umysłowego nie miała nigdy nic wspólnego.

Nic to jednak w porównaniu z nieświadomością. Te same bowiem w rubryce „zawód wyuczony” piszą — urzęd-

nik. Jedna z nich zapytana przeze mnie, coż to za zawód, po chwili milczenia wyjaśniła — pracownik umysłowy. Nasuwa się paradoksalna gra słów — umysł pracownika umysłowego nie jest chyba w porządku.

Jeden z urzędników przedsiębiorstwa przemysłowego — niefrasobliwie, a nawet ze swoistym humorem odpowiada na zadane pytanie, co należy do jego codziennej pracy: — Przyjąc podania o urlop paru pracowników, wpisać do kartoteki, przeczytać od deski do deski prasę, zjeść drugie śniadanie, tworzyć pomysły i każdego pierwszego zgarnąć 870 zł uposażenia. Refleks: niewielkie uposażenie za jeszcze mniejszą wydajność pracy.

Podawać dalej setki monotony, nużących rozmów, jako przykładów pracy urzędnika, byłoby niecelowe i w smutku swojej wymowy zapędziłoby uwagę do li-rycznych westchnień.

Przytoczę jednak jeszcze mo-nolog pewnej dziewczyny ze wsi, wędrującej niezmordowanie po osady urzędniczej (skoczyła w minionym okresie rok jednego z licznych liceów zawodowych):

— Gdzie jest ta opieka państwa nad uczącym się? Szukam pracy od dwóch lat. Odysyłam mnie już w różne miejsca. Raz nawet do baru za magazyńską. Nie pójdę, bo wszyscy będą kraść, a człowiek nie ma praktyki, będzie wiesznie coś się nie zgadzało. Raportów nie umiem robić. Drugi raz znów do sklepu za ekspedientkę. To po to mi trzeba było kończyć szkołę? Zresztą nie lubię mieć do czynienia z pieniędzmi, będzie kłopot. Kupujące wiesznie się kłóca, nerwowa praca, z matematyki nie jestem zbyt mocna. Co innego w biurze. Spokój, porządek, nie jest człowiekiem odpowiedzialnym”.

Jakież ponure skutki wleczesz za sobą ignorancjo!

Urząd Zatrudnienia dla kobiet w Rzeszowie przestał już w ogóle reagować na categoryczne żądania plejadi dziewcząt o możliwości zatrudnienia w biurze. Proponowane prace w fabrykach, przedsiębiorstwach przemysłowych i dużo wyższe możliwości zarobków są odrzucane gestem pogardy i lekceważenia. Młody narybek nie może pojąć, że skończył się czas mitów, że rzeczywistość wybiegła naprzód i stoi sobie czasem bolesne żarty z nieboraków.

Nie wiem, jak wytłumaczyć najbardziej rozsądnie, że przepisanie paru świstków w biurze nie da się porównać nigdy z obsłużeniem maszyny, mającej 15 przycisków, 17 sprężyn i 200 innych skomplikowanych rzeczy. Wydaje mi się, że trzeba nie lada otwartego umysłu, by zrozumieć duszę owej maszyny. Dziwna rzecz, że do

dziś tę obsługę piekielnego roboty (dla niewłaściwych) nazywa się pogodną pracą fizyczną, podczas gdy uparcie się tkwi na pozycjach skróbipirka, jako symbolu pracy umysłowej.

Znowu się ma do czynienia z mitem, który chce kształtować świadomość.

SZERZĄCY się kult biurokracji, zalew przestępstw urzędniczych, znajdujących rozstrzygnięcie w sądach — to odwrotną stronę medalu, która wymagałaby osobnego artykułu. W większości wypad-



ków na pewno mamy do czynienia ze świadomym gwałtem, ze świadomym umiarnym przepisów prawa gospodarki w państwie.

Nie do rzadkości jednak należą przestępstwa np. mankawy, wynikające z braku podstawowych kwalifikacji, z kom-pletnej nieznajomości zawodu i wykazujące nieprzydatność danego urzędnika.

Trudna i niepojęta to dla sądu sprawa orzecka winę oskarżonego magazyniera — urzędnika, o spowodowanie 30 tys. zł manka, który w rubryce wykwalifikacji podaje: 3 klasy szkoły podstawowej. Z oddalenia lat pamiętam, że pani w III klasie, nie bardzo liczyła na zmysł arytmetyczny swojej gromadki.

U TARTE kiedyś pojęcia, a zarazem mające wielkie zastosowanie w administracji, tzw. płynności kadr, czyż nie było przypadkiem spowodowane tym samym, tzn. brakiem kwalifikacji?

Wydaje mi się, że dyskusja na ten temat nie jest zbyt potrzebna, gdyż sam zestaw tych dwóch słów mówi za siebie.

Zrywając z mitem o wygodnej i lekkiej pracy urzędnika, należy zerwać przede wszystkim z wypaczeniem merytorycznym samego pojmowania tego zawodu.

Nie będzie bowiem urzędnikiem człowiek, który tylko w odpowiedniej rubryce ankiety umieścił owo słowo, a do innej, tej mówiącej o wykształceniu, dołączy świadectwo 7 klas szkoły podstawowej.

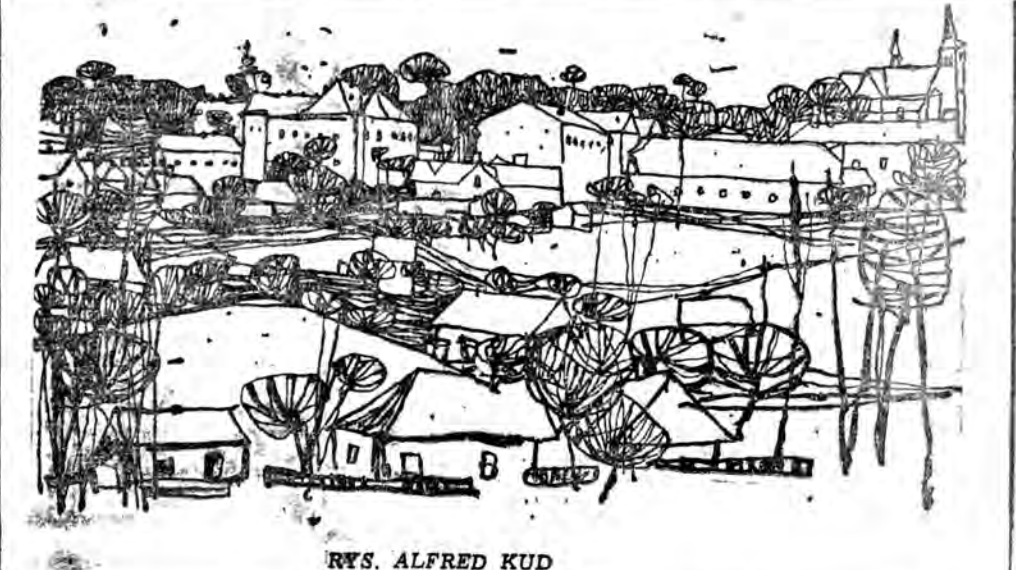
Łącząc się do tej pory z pojęciem tego zawodu bardzo ograniczone wymogi wykształcenia, bardzo mgliste i ogólne wiadomości, popularne, iskra przysłowiowego sprytu, by nie brać na siebie żadnej odpowiedzialności za pracę, jakaś

(Dokończenie na str. 2)

Z CYKLU: WĘDRÓWKI PO WOJEWÓDZTWIE



DWA RYSUNKI Z ŁAŃCUTA



RYS. ALFRED KUD

„WALKA KOBIET“ w teatrze rzeszowskim

EST rzeczą aż nadto oczywistą, że w komediach Scribe'a, których liczebność (około 400), sama zmusza do określenia arcydionnego dramaturga — rzemieślnikiem, musi znaleźć się echo patosu wielkiego teatru romantycznego. Koturnowy „Hernani” czy „Ruy Blas” Viktora Hugo pozostawiają trwały ślad nawet na twórczości zwolennika realizmu mieszczańskiego.

Napisana w 1851 roku „Walka kobiet”, którą można by nazwać swego rodzaju ewenementem politycznym ze względu właśnie na datę jej powstania (tworzenie się II Cesarstwa), jest komedią należącą do drugiego nurtu komediopisarstwa Scribe'a. Pierwszy bowiem o wiele liczniejszy — to komedia czysto mieszczańska, czerpiąca swe koncepcje we współczesności, drugim zaś kierunkiem jest komedia historyczna, w której o wiele częściej dochodzi do głosu patos romantyczny i której nadaje się dziś miano płacziwego wodewilu. Typowym przykładem jest tu „Walka kobiet”, której akcja toczy się w roku 1817.

Gdyby zastanawiać się nad wartościami artystycznymi teatru Scribe'a, niewiele dobyłoby się o nich powiedzieć dobrego. Mistrz w wiązaniu intrygi, a zarazem mistrz techniki dramatycznej, Scribe przejawia jednocześnie maksimum złego smaku w doborze tematu, niechlujstwo stylu i całkowitą obojętność wobec komedii charakterów, która stała się objawieniem za czasów nieśmierelnego Moliere'a. Sławy Scribe'a dziś trzeba by się doszukiwać właśnie w wielości jego sztuk, w ich tematyce, znajdującej żywy oddźwięk wśród rosnącego we wpływy mieszcza-

stwa francuskiego i w zgrabnej technice komedii.

Stąd patrząc z pewnego rodzaju pobłażaniem na „Walkę kobiet”, którą wystawił Teatr im. Wandy Siemaszkowej w reżyserii Bronisława Kassowskiego i podziwiając kunszt dramaturgii spółki autorskiej, jednocześnie na zimno dostrzeżemy inne braki.

Walka dwóch kobiet o ocalenie życia przebywającego w ukryciu zwolennika bonapartyzmu — Henryka de Flavigneul, spiętrzanie komediowych chwytów i sytuacji, wynikających z położenia Henryka, wprowadzenie cynicznej postaci ówczesnego karierowicza, który służy temu, kto u steru rządu — barona Montrichard — oto cała intryga. Oczekuje się jej rozwiązania, dość zresztą nieoczekiwanego i mało prawdopodobnego z zaciekawieniem, ale niestety chodzi tu tylko o intrygę, bo losy pięciokrotnie bohaterów są nam w istocie obojętne. Nie ma nic, i tu już wina tylko komediopisarza, co by przybliżyło którąś z postaci widzowi; nic, co czyniłoby jej własne losy szczególnie absorbującymi. Wszystko jest spreparowane zgrabnie, sprytnie i w przewidywaniu efektów czysto wewnętrznych.

Akt I, gdzie dowiadujemy się wszystkiego o wszystkich, gdzie Scribe powoli, acz systematycznie, zawiązuje nici sprawy, jest daleki od dynamizmu, mało ciekawy i w większej części źle grany przez aktorów. Aleksandra Bonarska w roli podstarzałej lecz pełnej powabu hrabiny d'Autreval bardzo przypomina stylem gry swoją Giovannę z „Przygody florenckiej”. Przesadnie żywa gestykulacja, zaczepno-odporne toniki, które przybiera w przydługich dialogach, są co



Edward Apa (prefekt de Montrichard) i Wincenty Zawirski (porucznik).

najmniej męczące. Być może, że na całość aktu wpływają właśnie owe patetyczne tyrady, jakby żywcem wyjęte z teatru Hugo, niemniej to co strawne było u wielkiego romantyka, tu jest nie do przyjęcia i celem reżysera winno być skrócenie ich do minimum.

Akt II przybiera, mimo jeszcze pewnych dłużyzn, tempo już bardziej komediowe, by przejść wreszcie w pełen dynamizm akt III, będący jednocześnie mistrzostwem dialogów Scribe'a.

Aktorzy ożywają się i sceny, w których hrabina d'Autreval toczy walkę o losy Henryka z prefektem są chyba najciekawsze. Aleksandra Bonarska jest na przemian opamiętana, zimna, cyniczna, przebiega i uwodzicielska.

Na szczególne uznanie zasługuje debiut Genowefy Wydrych w roli Leonii. Pełną wdzięku prostotę młodej dziewczyny, naiwność i zmienność afektów oddanych miną i gestem, można zaliczyć do osiągnięć młodej aktorki. Najbardziej równa i chyba najlepsza interpretacja roli, ujawniająca całą swoistą vis comica, przypadła w udziale Bronisławie Kassowskiej. Jego Gustaw de Grignon rzeczywiście oscyluje cały czas między „lmem a zającem”.

Ciekawie także oddał ciężką postać gburowatego prefekta Montrichard Edward Apa. Przebiegły, a zarazem tępowy, jest chyba w zgodzie z koncepcją autora, szkicu-

cego w tej roli sylwetkę dobrze znaną w czasie republik, cesarstw i monarchii.

O Henryku de Flavigneul Włodzimierza Miklasinińskiego powiem, że przeznaczenie było dlań mało łaskawe. Gdyby bowiem pozostał do końca sztuki w skórze lokaja (nie zaś uchodził w konflikcie z władzą) być może zyskałby pozytywną opinię widza.

O scenografii niewiele da się powiedzieć. Mimo że nie odbiegająca od stylu epoki, jest na pewno mało ciekawa, zaś dużą pretensję można by mieć pod adresem kostiumów Leonii — brzydkich i przesadnie skromnych, zwłaszcza w porównaniu z przepychem kostiumów hrabiny d'Autreval.

Całość komedii (z wyjątkiem słabego I aktu, o którym mowa na wstępie) wyreżyserował zgrabnie Bronisław Kassowski.

K. S.

Scribe i Legouve: „Walka kobiet” w reżyserii Bronisława Kassowskiego. Scenografia: Irena Perkowska. Kierownictwo literackie: Jerzy Pleśniarowicz. Aktorzy: Aleksandra Bonarska (hrabina d'Autreval), Genowefa Wydrych (Leonia, jej siostrzenica), Bronisław Kassowski (Gustaw de Grignon), Edward Apa (baron Montrichard, prefekt departamentu), Wincenty Zawirski (porucznik żandarmerii).

NA PYTANIA ODPOWIADA:

mgr ZYGMUNT BOBEK

członek Zarządu Wojewódzkiego TWP w Rzeszowie

W DNIU 25 lutego br. Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ogłosił uroczyste lata 1960—1966 jako okres obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. W związku z przygotowaniem do Milenium w całym kraju będą prowadzone prace nad zebraniem i uporządkowaniem dokumentów, świadczących, iż przed tysiącem lat uformowała się państwowość polska.

dowiska zostaną odtworzone zapewne przez Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej, jak i zespoły regionalne przy domach kultury.

— Które z miast w naszym województwie będą szczególnie uroczyste obchodzić „Milenium” z racji swojego starszeństwa?

— Głogów, Biecz i Dukla. TWP żywi nadzieję, że społeczeństwo tych właśnie miejscowości, jako kolebki tradycji dziejowych naszego narodu, szczególnie aktywnie dopomocze w odszukaniu materiałów źródłowych.

— Czy Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej przystąpił już do konkretnego działania w tym zakresie?

— Czy Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej przystąpił już do konkretnego działania w tym zakresie?

— Spośród licznych sekcji, działających w TWP szczególnie zadania ma do spełnienia sekcja historyczna z doc. M. Aleksiewiczem i dr Fr. Błońskim na czele, jak również literacka z przewodniczącym prof. Długoszem, zagadnień międzynarodowych, której kierownictwo pozostaje w rękach mgr Kluza oraz ekonomiczna, prowadzona przez mgr J. Brydaka. We wszystkich tych, jak i innych sekcjach prace są w pełnym toku. Cała rzecz w tym, by osoby prywatne, posiadające dokumenty nigdzie nie publikowane, czy zbiory o znaczeniu historycznym zechciały udostępnić je naukowcom.

— W jaki sposób — poza publikacjami wydawniczymi, czy prasowymi — wyniki tych prac będą popularyzowane?

— Odrzućmy ze starych zapisków, czy ludzkiej pamięci tradycyjnie pieśni, tańce, kłechy — po odpowiednim opracowaniu przez sekcję literacką i historyczną jako barwne wi-

— Przed wszystkim opieramy się na bardzo ścisłej współpracy z zarządami muzeów, zwłaszcza z dyr. Muzeum Okręgowego doc. Fr. Kotulą jak również z mgr Moskwą i mgr Kunyszem. Są już opracowane dzieje niektórych powiatów, jak np. Dębicy przez mgr K. Kurzawę, Gorlice przez mgr J. Niemca — Mięca — przeze mnie. Materiały źródłowe o powiatach południowych są obecnie skrupulatnie zbierane przez członków rady naukowo-ekonomicznej, istniejącej przy WKPG. Są to badania, obejmujące charakterystykę środowiska, zarys historyczny obszaru jak i jego ekonomikę. Wyniki tych badań będą także wykorzystane w czasie obchodów „Milenium”.

Rozmawiała:

M. TROJANOWSKA



Aleksandra Bonarska (hrabina d'Autreval) i Bronisław Kassowski (Gustaw de Grignon).

W KILKU Wierszach

W CZERWCU — FESTIWAL KAPEL LUDOWYCH

Od 24—26 czerwca odbędzie się w Klecach ogólnopolski festiwal kapeł ludowych oraz śpiewaków ludowych. Obecnie odbywają się już eliminacje wojewódzkie.

Z Rzeszowa na eliminacje centralne zakwalifikowały się kapele: z Krośna, Wójtowej (pow. Gorlice), Bud Łańcuckich (pow. Łańcut) i Górek (pow. Brzozów) oraz soliści: Józef Kocur i Franciszek Wyżga (akordeon), Maria Kozłowa (śpiew).

CZEKAMY NA KSIĄŻKĘ O SZYMANOWSKIM

W wydanej niedawno „Książce moich wspomnień” Jarosław Iwaszkiewicz poświęca wiele miejsca swemu kuzynowi, Karolowi Szymanowskiemu. Jest to bezcenny materiał informacyjny i anegdotalny jednego z najbliższych przyjaciół i współpracowników wielkiego kompozytora, wydaje się, że Iwaszkiewicz, jak rzadko kto, jest predestynowany do napisania dużej monografii artystycznej Szymanowskiego. Nie jest przecież tajemnicą, że Szymanowski jest jednym z bohaterów powieści „Sława i chwala”, której właśnie wyszedł II tom.

W LUBLINIE DO NICKI

Świętyni Lubelski Zespół Pieśni i Tańca został zaproszony na festiwal zespołów ludowych w Nicos, gdzie w ubiegłym roku inny polski zespół, Harmata z Łodzi, zajął I miejsce. Lubelscy amatorzy mają także duże szanse, gdyż ich bajet, składający się z 18 par pod kierownictwem doskonałego choreografa — M. Kaniorewej, reprezentuje wysoki poziom.

FRANZ KAFKA

KRÓTKIE OPOWIADANIA

Posejdon

POSEJDON

siedział przy biurku i li czył. Zarządca nie wszystkim wodami wymagało nieskończone nie dużo pracy. Mógł mieć pomocników, ale tylko zechciał, i miał ich też bardzo dużo, ale że nader po waznie swój urząd traktował, więc wszystkie rachunki raz jeszcze sam sprawdzał, tak że z pomocników niewiele miał pożytku. Nie można rzec, by praca go cieszyła, wykonywał ją właściwie tylko dlatego, że została mu narzucona, ba, nie raz ubiegał się o przyjemniejszą, jak powiadał, pracę, ilekroć mu jednak potem jakieś propozycje czyniono, zawsze się okazywało, że nic mu tak nie odpowiada, jak dotychczasowy urząd. Było też nader trudno znaleźć dla niego coś innego. Przydzielili mu jakieś określone morze było niemożliwe; pomijając już to, że i tutaj rachunkowość nie była mniejsza, lecz bardziej drobiazgową, dla wielkiego Posejdona wchodziło w rachubę jedynie takie stanowisko, które zapewniało władzę. A gdy proponowano mu stanowisko poza wodnym przestworzem, na samą myśl i tym robiło mu się niedobrze, jego boski oddech zaczynał się męcić, a spłówa



klatka piersiowa omdlewała: kiedy władca zrzędzi, trzeba mu nawet w najbardziej beznadziejnej sprawie na pozor ustąpić. O tym, by Posejdon rzeczywiście pozbawił urzędu nikt nie myślał, od pracoczątku był przeznaczony na boga mórz i tak musiało pozostać. Najbardziej złościł się — głównie dlatego, że był niezadowolony ze swojego urzędu — kiedy słyszał, że wyobrażono sobie, iż wciąż odbywał przejażdżki po falach, z trójzębem w ręku. A on tymczasem siedział tutaj w głębi oceanu i bez przerwy liczył, od czasu do czasu jedynie podróz do Jowisza przerywała tę monotonię, zresztą podróz, z której najczęściej wracał wściekły. Tak więc prawie nie widział mórz, chyba przelotnie, kiedy w pośpiechu wznosił się

na Olimp, i nigdy ich w rzeczywistości nie przemierzył. Zwykle mawiał, że czeka z tym do końca świata, kiedy pazed samym kressem, po przejrzaniu ostatniego rachunku, nadarzy się spokojna chwila, w której będzie mógł jeszcze odbyć małą przechadzkę.

Bak

PEWIEN filozof szwendał się zawsze tam, gdzie się bawili dzieci. Gdy zobaczył chłopca, który miał baką, już się przyczajał. Kiedy tylko bak zaczynał krząć, filozof pędził za nim, aby go złapać. Nic go nie obchodziło, że dzieci wrzeszczały i próbowały odwrócić jego uwagę od zabawki, jeśli zaś udało mu się złapać baką, dopóki ten jeszcze wrowała, był szczęśliwy, ale tylko na chwilę, potem rzucał go na ziemię i odchodził. Wierzył bowiem, że poznanie każdej drobnotki, a więc na przykład i wirującego baka, wystarczy do poznania ogólnego prawa. Dlatego nie zajmował się wielkimi problemami, wydawało mu się to rozrzućnością. Jeżeli się rzeczywiście zola poznać najdrobniejszą drobnotkę, można wszystko poznać, dlatego zajmował się tylko wirującym bakami. I zawsze, gdy przygotowywano się do puszeczenia baka w ruch, miał nadzieję, że teraz mu się uda, a kiedy bak się kręcił, w ustawicznej pogoni za nim nadzieja stawała się pewnością, ale gdy już potem trzymał głupi kawałek drzewa w ręku, robiło mu się niedobrze i krzyk dzieci, którego dotychczas nie słyszał, a teraz nagle rozdzierał mu uszy, odpędzał go i on zataczał się jak bak niezdarne smagany biczem.

MIT ZMURZAŁY STAROŚCIĄ I NIEZROZUMIENIEM

(Dokończenie ze str. 1)

nazwałabym to wtórna twórczość — wszystko prowadzi nieuchronnie do wulgaryzacji „urzędnika”. Sprowadza jego rolę w procesie ekonomicznym kraju do minimum, co więcej, można go słusznie i w wielu wypadkach nazwać człowiekiem niepotrzebnym.

A przecież tak nie jest na pewno. Przecież w większej części właśnie urzędnikom jest powierzona misja gospodarcza, decyzja o sposobie ulepszenia ekonomiki kraju. Przez ten olbrzymi wpływ i z powodu wielkiej liczby urzędników

sprawa ich wymaga postawienia na forum publicznym.

Właściwe kryteria, wykształcenie, umiejętność podejmowania ważkich decyzji, możliwość ciągłej specjalizacji w jednej dziedzinie, mogą doprowadzić do zdobycia cenzuru naukowego eksperta, do zdobycia zawodu.

Zawężenie tego, co podpada pod pracę urzędnika i specjalizacja tegoż, jest jedyną możliwością na uzyskanie całej rzeszy ludzi, którzy dziś po garstką wiadomości ogólnych, nie posiadają żadnych umiejętności zawodowych.

Krzysztof ŚWIĘCZKOWSKI



Wiosna — ale na razie w ciepłarni, I to nie u nas, lecz w Kanadzie. CAF

Geografia na codzień

ODDZIAŁ Polskiego Towarzystwa Geograficznego w Rzeszowie prowadzi w tym roku działalność pedagogiczną i naukową. Towarzystwo, które skupia w swych szeregach przede wszystkim nauczycieli i geografów i innych geografów różnych specjalności, pracujących poza szkolnictwem, daje swym członkom do opracowywania różne tematy. Ma to na celu podniesienie wiedzy geograficznej, tak wśród nauczycieli jak i młodzieży szkolnej.

Również częste są opracowania samodzielnie prowadzone w szerszym lub węższym zakresie. Do takich m. in. należy praca mgr A. Tabora pt. „Zagadnienia wody w Polsce”. Ubiegłego roku np. mgr A. Walawski referował na dwóch kolejnych zebraniach Towarzystwa prace, która w tym czasie była jeszcze w trakcie opracowywania pt. „Monografia województwa rzeszowskiego”. Zebrane w niej były bardzo ciekawe zagadnienia dotyczące naszego województwa pod względem warunków naturalnych, gospodarczych, turystycznych i innych; całość zilustrowana kilkudziesięciami mapami i zdjęciami. Ciekawe opracowanie, z którym warto się zapoznać.

Często Oddział odwiedzany jest także przez naukowców z ośrodków uniwersyteckich. Np. w grudniu ub. roku wygłoszono wykład z 2 wyjazdów za granicę. Adiunkt dr J. Flis miał sprawozdanie z wycieczki do Albanii, mgr L. Starkel z wycieczki do Jugosławii.

Dnia 25 lutego br. wygłoszono dwie referencje. Pierwszą o charakterze pedagogicznym dotyczył sprawozdanie ze Zjazdu Nauczycieli Geografii w Grenoble (Francja), który referowała bardzo szeroko prof. dr A. Chalubinska z Poznania. Dla rzeszowian szczególnie ciekawą była druga referencja prof. dr M. Dobrowolskiej, wieloletniej milośniczki naszego regionu, zatytułowana: „Badania demograficzne i gospodarcze województwa rzeszowskiego”. Na tym odczyście słuchacze zostali zapoznani ze stanem badań nad naszym województwem, prowadzonym przez Katedrę Geografii Ekonomicznej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Autorka wyczerpała poza tym projekt, entuzjastycznie zresztą przyjęty, aby wyłonić spośród chętnych członków Towarzystwa grupę ludzi, którzy by pod fachowym kierownictwem prowadzili prace badawcze na terenie naszego województwa. Do zrobienia bowiem jest u nas jeszcze bardzo wiele.

Większość opracowań jakie były referowane oczywiście oprócz własnych prac autorki, wykonana była przez studentów w ramach prac magisterskich. Na uwagę zasługują tutaj między innymi takie prace jak: „Wpływ osrodków Gorlic — Mariampola na wiejskie zaplecze na tle stosunków społeczno-gospodarczych” — J. Niemca oraz „Miejsce i jego wpływ na rolnicze zaplecze w powiecie” — Z. Bobka. Te i inne opracowania dotyczące naszego województwa zostaną przesłane do wykorzystania Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, która nawiązała już kontakt z naukowcami z Krakowa.

W dalszym ciągu prelekcji wykazane zostało duże znaczenie badań dla poznania środowiska, w którym żyjemy. Spośród wielu omówionych problemów ekonomicznych ciekawym jest np. zagadnienie dojazdu do pracy omówione na podstawie opracowań dla Dębicy i Gorlic. Rzeszów mimo że jest z pewnością miastem w naszym województwie o największej liczbie dojeżdżających, takiego opracowania jeszcze nie posiada. Bardzo ciekawe i wartościowe są badania, rzucające światło na rozwój historyczny wyłudniania się wsi, szczególnie teraz dobrze widoczne w dobie rewolucyjnego rozwoju naszego przemysłu. Wiąże się z tym fakt, że obecnie kobieta wiejska przeciętna jest pracą przy gospodarstwie, bowiem w przeważającej liczbie wypadków pozostali członkowie rodziny znajdują zatrudnienie w mieście. Nie trudno ocenić jaki to ma wpływ przede wszystkim na gospodarkę wiejską oraz na stosunki w mieście.

Prace te swym zakresem obejmują także zagadnienia rozdrobnienia gospodarstw rolnych, które w skrajnych wypadkach dochodzą nawet do 150 dziesięk, kiedy np. rozdrobnienie w okolicach Żywca dochodzą do 40 jest już zagadnieniem uciążliwym. Co za szalona w tych warunkach strata czasu przy pracy w polu, jakże duża powierzchnia dróg polnych łączących te działy, w rezultacie jakie poważne straty dla naszego rolnictwa. Jakże wyraźnie narzuca się konieczność scalenia rozdrobnionych i rozrzuconych częściowo na wielkim obszarze działek. Wszystkie te badania ilustrowane zawsze bogatym materiałem kartograficznym i tabelami dają zupełnie jasny obraz zarysowujących się problemów ekonomicznych.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę na bardzo ciekawą i interesującą swym przebiegiem, że po zmianie środowiska w którym żyjemy z jego wszystkimi ujemnymi cechami przybliżyła nas o krok do poprawy warunków. Musimy posiadać jasny obraz tego, co należy zmienić aby było lepiej.

W dalszych planach Bronisław Zieliński przewiduje przedkładać nieznane u nas pisarza amerykańskiego Roberta Penna Warren oraz dwa powieści z północnych Hermana Melville'a, autora pięknej książki o białym wiejorku — „Moby Dick”.

Obecnie Karolina Beylin pracuje nad nową, trzecią z kolei książką o dawnej Warszawie.

Z nowej książki Karoliny Beylin — „Jeden rok Warszawy” — dowiemy się znów o powszednim życiu warszawiaków w ciągu jednego tylko — tj. 1875 — roku. Będzie to dla kontrastu z latami, o których mówią „Tajemnice Warszawy” — rok spokojny, w którym nie dzieje się nic politycznie ważnego, w którym bogato rozwija się życie kulturalne Warszawy. Działają w niej już młody Prus, młody Sienkiewicz, Modrzewska, Rakacki, A. Gierymski, Kostrzewski.

notatnik KULTURALNY

NOWE PRZEKLADY Z LITERATURY AMERYKANSKIEJ
HEMINGWAY — STEINBECK — CAPOTE — PENN WARREN

Tych wszystkich, którzy interesują się literaturą amerykańską niewątpliwie ucieszy wiadomość, że wkrótce ukażą się w przekładzie na język polski nowe cenne pozycje.

Znany tłumacz Hemingwaya, Steinbecka, Melville'a i innych współczesnych i dawnych pisarzy amerykańskich — Bronisław Zieliński ukończył już prace nad polskim przekładem książki zupełnie u nas nieznanego pisarza — Trumana Capote pt. „Inne głosy, inne setany”.

Truman Capote — to młody pisarz, którego debiut literacki był uznany w Ameryce jako sensacja. Pisarstwo Capote'a — mówi B. Zieliński — różni się zasadniczo od twórczości Hemingwaya czy Steinbecka, jego spojrzenie na świat jest nawiąskiem europejskie, a przy tym nieco egzystencjalistyczne. „Inne głosy, inne setany” to książka świadcząca o znakomitym talencie Trumana Capote. Jest ona już w druku, toteż niedługo będziemy mogli zapoznać się z tym — jak twierdzi tłumacz — niewątpliwie ciekawym zjawiskiem w amerykańskiej literaturze.

Również niedługo, bo najpóźniej za dwa miesiące, ukaże się w przekładzie B. Zielińskiego powieść Hemingwaya „Słońce też wschodzi”. Powieść ta wydana w 1926 r. od razu postawiła Hemingwaya w rzędzie pisarzy dużej miary. „Słońce też wschodzi” daje obraz pokoleń, które przetrwały w czasie I wojny światowej odbraniając zdolność zaniechania celu w życiu.

Poza tym Zieliński pracuje nad przekładem jednej z najciekawszych książek Steinbecka „Na wschód od Eden”. Są to pasjonujące dzieło dwu rodzin w okresie od 1860 r. do I wojny światowej, napisane piękną prozą. Wielebnie talentu tego autora będą musieli jednak na książkę już poczekać do jesieni.

W dalszych planach Bronisław Zieliński przewiduje przedkładać nieznane u nas pisarza amerykańskiego Roberta Penna Warren oraz dwa powieści z północnych Hermana Melville'a, autora pięknej książki o białym wiejorku — „Moby Dick”.

KOLEJNA KSIĄŻKA O DAWNEJ WARSZAWIE

Wśród wielu książek o dawnej Warszawie, jakie ukazały się w ciągu ostatnich kilku lat, do najciekawszych pozycji należą dwie książki Karoliny Beylin — „Opowieść warszawska” i „Tajemnice Warszawy” — rok spokojny, w którym nie dzieje się nic politycznie ważnego, w którym bogato rozwija się życie kulturalne Warszawy. Działają w niej już młody Prus, młody Sienkiewicz, Modrzewska, Rakacki, A. Gierymski, Kostrzewski.

FELIETON TYGODNIA

TAJEMNICA SŁUŻBOWA?

Tylko jeden, jedyny raz w naszym mieście!!!
Ślawną piosenkarką — Edda Wysokiełcin!
tenor — Jack Sepleniewicz!
oraz west — jazz — indiano — rytm
quintet pod dyrykcją Jana Trompki!!!
Bilety do nabycia w kasach Orbisu!
Tylko jeden, jedyny raz!
ARCYMISTRZ w polyananiu gwoździ i łamaniu podków!
AURELIUSZ SAMPANĆWIEK!!!

AFISZE anonsujące podobne imprezy nabierają coraz większy rozmach i coraz częściej widnieją na słupach ogłoszeniowych w Rzeszowie. Nic dziwnego, że w ich powodzi niejeleń z mieszkańców naszego miasta nie spostrzegł innego afisza, zaświadczającego, że w sali WDK przy ul. Okrzei odbędzie się Wojewódzki Festiwal Kapel i Chórów Ludowych. Nic dziwnego, bo afisz był mały i niewidoczny. Wielu więc obywateli z Rzeszowa nie zwróciło na niego uwagi i w braku czegoś lepszego zapatrzyło się w bilety na imprezę z mistrza Sampanćwieka.

A szkoda, bo festiwal był na prawdę interesujący. Ludowe zespoły i soliści demonstrowali niejednokrotnie swój wysoki poziom. W sali rozbrzmiewały znane i mniej znane melodie rzeszowskich pieśni i tańców ludowych.

Niestety, zabrakło widzów. Tylko niewiele osób z Rzeszowa przysłuchiwało się występom, olbrzymią większość na sali stanowili konkurenci występujących — członkowie innych zespołów biorących udział w festiwalu. Siedziałem na sali i zastanawiałem się dla

czego tak się stało. Przecież melodie ludowe cieszą się tak wielkim powodzeniem! Świadczą o tym tłumy ludzi na występach „Mazowsza” i „Śląska” świadczą liczne listy nadsyłane do rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie z prośbami o nadawanie melodii ludowych naszego regionu. Pamiętam po dobłą imprezę z udziałem kapel ludowych w Łodzi. Finałsiści umtego festiwalu występowali wobec kilkudziesięciu widzów, która gorąco oklaskiwała śpiewaków i muzykantów.

Dlaczego więc w Rzeszowie wszystko odbyło się tak skromnie, cichaczem, niemal w tajemnicy? Wiele na tym straciłobyśmy. I mieszkańcy miasta — pozbawieni godziwej, wartościowej rozrywki i wykonawcy — pozbawieni satysfakcji występowania przed dużą, miejską widownią.

Nie wiem komu mogło zależeć na tym, by festiwal przeszedł niepostrzeżenie i jakie względy na tym zaważyły, bo chyba nie skromność organizatorów, ani obawa, że zostaną posądzeni o „monumentalizm”. Pozostaje tylko niedbałość, chęć „odfajkowania” akcji lub „tajemnica służbowa”.

(WIKAS)

NOWE SZTUKI POLSKICH AUTORÓW

Skromny siostrzako reper-tuar polskich sztuk współczesnych wzbogacił ostatnio nowe pozycje.

Jerzy Broszkiewicz — autor „Imion wiadry”, napisał komedię pt. „Jonasz i bliźni”. Akcja tej sztuki toczy się w królestwie, jak je nazywa autor, „bardzo powiatowym”. Pod pretekstem historycznej fabuły porusza w niej autor współczesne problemy moralne.

Komedie „Zmarnowane życie” napisał Adam Tarn. Oryginalnością tej sztuki jest ukazanie życia jednego człowieka w dwóch wersjach.

Autorem dramatu „Drogi pokój” jest Zbigniew Herbert. Tematem tej sztuki jest zdarzenie powszechne i odpychające w swej brutalnej codzienności: historia „zdobywania” pokoju przez młode małżeństwo. Ofiarą pada tu samotna staruszka.

Józef Morton znany dotychczas jako autor licznych powieści o tematyce chińskiej, napisał sztukę pt. „Bracia”. Jej akcja toczy się m. in. na wsi w latach 1922—1924.

Jan Wilczek, zadebiutował sztuką dla dzieci i młodzieży „Lampa Allasyna”. Jest to nowa przeróbka znanej baśni z „Klecha Sezamowych” B. Lesmiana.

Irena Baltuc-Staszewska napisała widowisko muzyczne dla dzieci pt. „Bazyliśzek”, osnute na tle znanej legendy o Bazyliśku, który straszy na Krzywym Kole.

KARUZELA NEAPOLIŃSKA

MIASTO W REWII I PIOSENCE

NIESMIERTELNY Pulcinella-Poliszyneł ujrzał śmierć. Miała fioletowo-sine kście rąk, miał twarz maskę pustki i statyczności. Niesmiertelny Pulcinella-Poliszyneł poczuł, że musi odejść. Oddał synowi swoją skromną czarną maseczkę i odwieziono go powozem w nieskończoność. Przepaszam, kto to umarł? Ot, zwykły człowiek. Poliszyneł bowiem już w chwili zgonu był na estradzie teatryku dell arte i piakał, by wywołać śmiech. Takie to już prawo natury, by zachować jednolitość, takie prawo życia i śmierci, że nie może brakować ludzi potrzebnych.

Kto odgrzebał te stare sprawy i przyoblekł je w poezję minionego czasu? Ettore Gianini tworząc „Karuzelę neapolitańską” z przewodnim motytem niesmiertelnego katariniarza, co opowiada ludziom dzieje Neapolu i swoje własne zarzecz. Cóż bowiem mógłby zrobić sam inno, jak nie kochać wspomnień, nie wyczerpywać fantazji historii, i nie wskrzeszać wiecznie żywej piosenki neapolitańskiej. Tak mu pisane było od wieków, w wędrownym uozem, kupując dzieci, noclegami na pustych gościńcach, malowniczych zaułkach, śpiewa dzwuczony kuplarz i wywołuje śmiech, głęboko wążąc w myśl, któryemu z synów powierzyć swój niecodzienny fach.

Czasem złośliwy wiatr wyłuska z katarinię parę karatek z piosenkami i upadną one do morza, by zamknąć na zawsze o chwale neapolitańskiego grodu. Czasem mała neapolitanka, o potarganych włosach, wyłowi kartkę historii i odda Poliszynełowi, a ten w zamian wyczaruje barwny obraz miłości, śmierci i pragnień.

Jest rok 1660. Maurowie zdobywają stare zaułki. Płonie umowna makieta miasta. Piękna Angela oplakuje odjazd kochanka. Jest sama na płonącym placu. Wpadają barbanycy. Tańczą swój dziki tam-tam zwycięzcy. — Angela jest żywym tępem.

Wraca ukochany. Smutne, stare kobiety w czerni w milczeniu zdają relacje — swoim wyglądem o tym, co było. Kochanek rozpaczliwie szuka Angeli. W ślad za rozdzierającym krzykiem spada ze skały do morza jej chusta. Pulcinella skończył opowieść o miłości i historii. Pamiętajcie ludzie wrażliwi, co to piękno i legenda — zdaje się mówić. Po to tu jestem między wami.

Z folkloru Neapolu zrodził Ettore Gianini swój film. Po myślał go podać widzom, jako barwne widowisko, które nie jest ni rewia, ni operetką, a żywym obrazem. Byłoby wspaniałe na pewno, gdyby utrzymał je w jednolitym tonie do końca, gdyby obronił koncepcję Poliszyneła i teatryku dell arte, gdyby nie dał ponieść się zlemu smakowi i odstępstwie od tego, co nie neapolitańskie.

Film bowiem jest świetny w swych początkowych partiach, kiedy opowiada odległe dzieje miasta, zaczynające się w XVII w. najazdem Maurów. Na ekranie mamy prawdziwy teatr pantomimy i współczesny balet amerykański Keita Fodeba który nawiasem mówiąc gościł w Polsce przed paroma miesiącami. Wszystko jest tak, jak w pięknej melodii „Michelema”. Później są Arlekińcy z Colombinami, później książniczki kurtyzany, a pod koniec wieku XIX owa uroczą piosenka „Ja coś tobie

dam” — ilustrująca handel włoski z zagranicą. Barwny korowód pomieszanych narodowości znów nie odbiega od prawdy.

Niestety na tym kończy się cały urok odgrzebywania folkloru i Poliszyneła. Wraz z fin de siecleł wkracza bowiem tanizna francuskich teatryków rewiiowych, pseudo-cancan, pierwsza wojna światowa, powojenne szmiry i tak dalej, aż do naszych czasów wiozynie.

Giannini rezygnuje z koncepcji, wykorzystując popyt na towar lekkostrawny, a jednocześnie mało ciekawy i filmowo i dokumentalnie. Nawet doskonały przecież z opinii balet Markiza de Cuevas nie ratuje banalnym układem choreograficznym całego widowiska. Pozostaje smutek za teatrykiem, za włoską piosenką. Żalika także przez cały wiek XX Poliszyneł — Paolo Stoppa, wspaniały aktor, ustępują miejsce rzeczywistości pięknej, ale i rzeczywistości źle grającej Sophii Loren.

W sumie film mający ambicje sztuki nie do ekranowej historii miasta w piosence i tańcu, pozostawia wrażenie wielkiej niedoskonałości. Tym bardziej przykra ta ocena, że pierwsza część filmu wstrząsała prawdziwie, i prawdziwie zblizła do miasta, o którym jego mieszkańcy powiadają, iż nie ma piękniejszego w świecie.

K. S.

GDYBY PARYS LUBIŁ JABŁKA...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

szadnicze zagadnienia konieczne do przerebowania w klasie. Jednocześnie wyodrębnione zostaną te partie materiału, które w pewnych warunkach mogą być pominięte bez szkody dla dalszego nauczania.

Ma to zasadniczo nieomal znaczenie dla równego startu dzieci z różnych środowisk. W ten sposób określili się bowiem pewne minimum wiedzy, która egzekwowana będzie od wszystkich dzieci, z pominięciem materiału mniej istotnego, który nie będzie miał zasadniczego wplywu na ocenę poziomu ucznia.

Poza zmianą roli programu w procesie nauczania, od nowego roku szkolnego zmniejszy się ilość godzin nauki w szkole oraz wprowadzone zostaną zmiany w układzie materiału dla różnych klas. Tak więc, nauczanie historii w szkole podstawowej nie będzie

się zaczynało od czasów starożytnych, co niewątpliwie, zmniejszy przeladowanie programów historii w klasach VI i VII. Dzieci w szkole podstawowej, zanim zaczną poznawać mitologię grecką oraz historię antycznej Grecji i Rzymu, muszą najpierw poznać dzieje własnego narodu. Jako argument za taką zmianą przemawiać może, poza względami pedagogicznymi, także fakt, że znaczna część dzieci, zwłaszcza na wsi, kończy naukę na siedmiu klasach. Jest więc znacznie słuszniejsze, aby dokładniej znały historię własnego kraju.

Historia powszechna, która dotychczas stanowiła znaczną część materiału w klasach VI i VII, traktowana będzie obecnie głównie jako uzupełnienie nauki o własnym kraju. Trudno bowiem mówić dziecku np. o Księstwie Warszawskim, nie wspominając o Napoleonie. Główny nacisk

położony zostanie jednak na historię Polski, która połączona z najbardziej podstawowymi wiadomościami o świecie, stanowić ma pewną niezbędną sumę wiedzy historycznej.

Nienajlepsze rezultaty dawały także obecne programy matematyki dla wyższych klas szkół podstawowych. Były często tak przeladowane materiałem teoretycznym, że niejednokrotnie dziecko, które — według programu — znało już algebrę, w rzeczywistości słabo dodawało i dzieliło liczby zwykłe. Dlatego też już od nowego roku szkolnego dzieci w klasach I—IV będą się po prostu uczyły sprawnie liczyć, a w klasach wyższych wydatnie ograniczy się ilość materiału.

Szkola jest przeznaczona dla dzieci. Dla dzieci, które poza nauką muszą mieć także czas na normalny rozwój.

X SIDORCZUK



Niedawno zmarł śmiercią tragiczną znany producent filmowy Mike Todd. Na zdjęciu: widzimy go w towarzystwie żony, znakomitej aktorki Elisabeth Taylor, podczas pobytu w Moskwie.

